

Marysia i Maria

Wywiad Marysi Zaporowskiej¹ z Marią Łopatkową²

Marysia

Kiedyś Maria Łopatkowa była tylko Marysią. Choć Pani pewnie zaraz sprostuje na „aż Marysią”...

Maria

W Korczakowskim spojrzeniu na dziecko, także to jasnowłose, pyzate, zwałce się Marysią Kręciszówną, to „aż” się mieści. Dziecko bowiem w niejednym przewyższa dorosłego. Pamiętam z wczesnych lat dzieciństwa, zanim jeszcze wybuchła wojna, jak bardzo ufałam ludziom. Dziś, niestety, nie byłabym aż do takiej ufności zdolna, chociaż i tak niektórzy zarzucają mi skłonność do przeceniania ludzi, do łatwowierności. Ale bez wiary w człowieka trudno żyć samemu, a innym z nim jeszcze trudniej. Dlatego bardziej nawet oplaca się przeżyć zdradę kogoś, kto mianował się naszym przyjacielem, aniżeli od samego początku podejrzewać, że jest fałszywy i trzeba się mieć przed nim na baczności.

¹ Marysia Zaporowska o sobie (3 marca 2006): Właśnie zdałam maturę (wiem, że nie należy rozpoczynać od „właśnie”). To nie była poprawka, to był egzamin przed terminem. Z polskiego dostałam 3. To nowe doświadczenie. W berlińskim „Junge Welt”, żydowskim „Dos Jidisze Wort”, we wrocławskiej „Odrze”, w jeszcze krakowskim „Przekroju” – oceniali mnie ciut wyżej. Tam i gdzie indziej wydrukowałam kilkadziesiąt artykułów, reportaży, polemik i wywiadów (m.in. z ambasadorem Szewachem Weissem). We Wrocławiu, Legnicy, Sobótce, Krakowie i Warszawie pokazałam wystawę fotografii ulicznych i podwórkowych napisów antysemickich. Pan prezydent Kwaśniewski wysłał mi potem dwustronicowy list, że gratuluje i że w ogóle to nie jest „Moja Droga” aż tak źle. Mam zaszczyt się nie zgadzać, Panie Prezydencie! W rodzinnym mieście pokazałam portrety fotograficzne mieszkańców ukochanego Iranu; wśród nich dwie zaskakująco smutne dziewczynki z miasta Bam, które za kilkanaście miesięcy w perzynę obróciło trzęsienie ziemi. Rok wcześniej już coś przeczuwały? Trochę się wstydzę, bo nigdy jeszcze nie byłam głodna. Poczekamy, zobaczymy, może kiedyś, inszallah... A tymczasem dziękuję losowi, że spotkałam tylu dobrych ludzi. Na dużej Nowej Gwinei i dużo mniejszej Biak i we francuskiej Gujanie. Na kenijskiej wyspie Lamu i w zaminowanej Kambodży. W Polsce też. Dokładniej – w Aleksandrówce koło Batorza. I w umiłowanym Szczepieszynie. Jestem wściekłą przeciwniczką wojny w Iraku (dlaczego tak mało jest u nas księży Staszków Musiałów?). Kocham konie. Nie jem mięsa.

² Wywiad ten ukazał się najpierw w nieznacznie różniącej się wersji w książce M. Łopatkowej, *Pedagogika serca w dobie globalizacji*, Kraków 2006, s. 138-155.

Podejrzliwość, w odróżnieniu od ostrożności, może stać się groźną infekcją, zakażającą jednostkę lub grupę osób i wtedy ogarnięta nią wyobraźnia potrafi przyjąć za fakt każdą brednię i rozpalic nienawiść.

Wystarczy przytoczyć pogrom kielecki. Jakiś chłopiec, nie poinformowawszy rodziców, poszedł na drugą wieś do krewnych. W trakcie jego poszukiwania rozniosła się plotka, że został uprowadzony przez Żydów, którym krew dziecka jest potrzebna do pieczenia macy. I stała się rzecz straszna. Rozwścieczony tłum mordował rodziny żydowskie ocalałe z wojennego koszmaru. Ocalenie to mordowani zazwyczaj zawdzięczali innym Polakom, którzy podczas okupacji z narażeniem życia ukrywali Żydów przed Niemcami.

Przed wojną, kiedy byłam małym dzieckiem, nikt nie straszył mnie ani mojej młodszej siostry Żydami, Cyganami czy pedofilami. Bez obawy więc, jako kilkuletnia dziewczynka, sama prowadzona za rączkę przez Żyda, poszłam z nim do sąsiadów, żeby się pochwalić swoją, kupioną przez mamę, wstążką do włosów. Na wsi wołano na niego Mair. Był podobny do Świętego Mikołaja: miał długą, siwą brodę, a na plecach duży kosz z mnóstwem praktycznych drobiazgów sprzedawanych gospodyniom. Zawsze w tym bajecznym koszu było coś dla dzieci. Cieszyłyśmy się więc, gdy przychodził do naszej wsi; lubiłyśmy go. Mama nigdy nie mówiła nam, jak to mówili moim rówieśnikom niektórzy rodzice, że Żydzi ukrzyżowali Chrystusa, że mordują dzieci, by mieć ich krew. Podczas okupacji nocowała w naszym domu Żydów, uciekających z niewoli żołnierzy radzieckich, partyzantów różnych ugrupowań; nie robiła różnicy między ludźmi potrzebującymi pomocy, chociaż ich nie znała, chociaż mogli nas okraść, zabić, spalić, byliśmy przecież bezbronni. Ojczym w Armii Andersa, ona, samotna matka, z dwiema małoletnimi córkami.

Drugą osobą, która wpoila we mnie wiarę w ludzi, była przed wojną wychowawczyni naszej klasy Helena Smulska, po mężu Nogowa. Wołała na mnie: „moja maleńka Marysieńka”. Szukała mnie po wojnie, bo bała się, że mogłam nie skorzystać z szerokich możliwości kształcenia i zaprzepaścić uzdolnienia, do rozwoju których się przyczyniła. I odnalazła mnie, mimo że obie już miałyśmy zmienione nazwiska. W listach, które do mnie pisała, nie zmieniła tytułu. Wciąż byłam dla Niej „Moją Marysieńką”, chociaż już nie „maleńką”. Dzięki Niej zrozumiałam, jak duże znaczenie ma w szkole mówienie wrażliwemu dziecku po imieniu i jaka jest różnica między „Marysieńką”, a stosowanym w innej szkole poleceniem: „Kręciszówna do tablicy”.

Czułość, tak bardzo potrzebna dzieciom, zawarta w zdrobnieniu imienia, w tonie głosu, w serdecznym geście, stała się dziś podejrzana. Boją się ją okazywać dorośli i – choć tego pragną – boją się ją przyjmować dzieci, ostrzegane, aby nie ufały nikomu, kto stara się być

dla nich miły. Przerażona tym narastającym klimatem podejrzliwości, zamieściłam niedawno w prasie tekst pod tytułem: *Przytulanie to nie molestowanie*.

Marysia

Pani niezwykle wrażliwość na dziecięcą krzywdę ma jakieś korzenie w Pani dzieciństwie?

Maria

Tak, w dzieciństwie wiejskiego dziecka, w losie tysięcy chłopskich dzieci, który też był moim losem. Od tej krzywdy się zaczęło i z latami rozszerzyło na wszystkie rodzaje krzywd dziecięcych, o których wieść do mnie dochodzi. Od najwcześniejszych lat odczuwałam niezaspokojoną ciekawość świata i ludzi. Zapamiętałam z tych najwcześniejszych pragnień dwa: żeby szybciej dorosnąć na wysokość stołu, aby zobaczyć, co na nim leży. Ile więc mogłam mieć wtedy lat? Dwa? Trzy?

Drugie pragnienie, żeby szybko nauczyć się samej czytać i nie prosić „Poczytaj mi, mamo”, bo mama miała zwyczaj przerywać głośne czytanie w najciekawszym miejscu, mówiąc, że musi iść „do obrządku”. Kiedy wreszcie mama pomogła mi poznać litery i posiadałam sztukę czytania, niełatwo było mnie odciągnąć od z trudem zdobytej książki. A odciągnąć trzeba było, bo, tak jak wszystkie dzieci chłopskie, musiałam pomagać w gospodarstwie.

Żniwa, wykopki, pielienie, pasanie krów, opieka nad młodszym rodzeństwem. Bieda w małych gospodarstwach, a do takich i nasze należało, wymuszała oszczędności. Znam więc dramat zgubionego ołówka, poplamionego zeszytu, rozdartej sukienki. Znam tęsknotę za nieznanym morzem, górami, za śpiącą lalką i za wycieczką do wesołego miasteczka. Dlatego, jako młoda nauczycielka w wiejskiej szkole, czytając wypracowania moich uczniów, zaczynające się od zdania: „Mnie w wakacje było smutno” wiedziałam, co to znaczy.

Brak wyrównania szans życiowych dzieci wiejskich w stosunku do ich miejskich rówieśników ujmowany w różnych wymiarach i sytuacjach, wciąż mieści się w kategoriach krzywdy. Bo pierwsze 10 lat życia dziecka zawiera niepowtarzalne możliwości rozwoju umysłu i uczuć pod nadzorem serca. Ciekawość świata, z którą się rodzimy, skazana przez otoczenie na ubóstwo doznań, może zanikać, jak wszystko, co nie jest w porę używane.

Marysia

Najpiękniejszy obraz z Pani dzieciństwa?

Maria

Motyl w szkolnej klasie. Piękny był, może dlatego go zapamiętałam? Może przyfrunął, żeby mnie oswoić z nowym miejscem? Dzieci w obcym otoczeniu lubią spotykać coś znajomego, coś, co nie zagraża i zmniejsza niepokój. Mnie zaś z motylami łączyła duża zażyłość. Kiedy siedząc wśród traw na nadwiślańskim wale czytałam książkę, siadały mi na włosach, na sukience, niczym żywe ozdoby, obdarowujące mnie pięknem. Mając ograniczone kontakty z rówieśnikami, mieszkaliśmy na tzw. majoracie, z dala od wsi, obcowałam blisko z tym całym bogactwem, jakie posiada przyroda nieskażona cywilizacją przemysłową. Lubiłam słuchać świerszczy, zachwycać się delikatnym zapachem powoi, marzyć, wsłuchana w szum fal mojej ukochanej Wisły.

Myślę, że ów związek z literaturą i przyrodą w dużej mierze wpłynął na kształtowanie mojej dziecięcej wrażliwości. Rozumiem więc, dlaczego noblista Rabindranath Tagore swoją szkołę poety umieścił wśród zieleni, z dala od miasta i pozwalał uczniom siedzieć na drzewach podczas nauki. I wiem dlaczego, już jako wiejska nauczycielka, zamiast w klasie, prowadziłam w lesie lekcje z moimi pierwszakami, siedzącymi wśród kwitnącego wrzosu. Najpiękniejsze obrazy zachowane w pamięci z mojego dzieciństwa to te, kiedy w majowo-czerwcowy piękny dzień siedzę nad Wisłą lub na miedzy, skryta wśród kwitnących zbóż i czytam. Żeby zdobyć książkę musiałam pokonać kilka kilometrów do biblioteki gminnej w Kamieniu albo do dworu, gdzie miła starsza pani pożyczała mi ze swego zbioru różne pozycje.

Pamiętam, że z radości, gdy nikt nie patrzył, całowałam okładkę, za którą krył się zaczarowany świat czekający na moje z nim spotkanie. Któregoś dnia, gdy odniosłam przeczytany tom, nie zastałam już starszej pani. Młodsza pani dziedziczka przyjęła oddaną książkę i powiedziała, żebym więcej nie przychodziła, bo tu nie wypożyczalnia. Wracałam do domu i płakałam. Z biblioteki gminnej, nader skromnie wyposażonej, wyczytałam prawie wszystko, jak leci, *Biografię Murzyna* też, chociaż nie miałam pojęcia, co znaczy słowo „biografia”. Przypomniłam mi się po latach ten tytuł, gdy pisałam artykuł do „Życia Warszawy”: *Kto zechce zostać babcią Murzynka*. Szukałam wtedy dachu nad głową dla małego mulata.

Marysia

A najgorszy obraz z Pani dzieciństwa?

Maria

Pytasz o najgorszy obraz z mojego dzieciństwa... Był taki w czasach okupacji. Nasz dom w Braciejowicach był taką „chatą za wsią”, stojącą daleko od szosy. Dlatego w miarę bezpiecznie mogli się w nim spotykać partyzanci z Batalionów Chłopskich. Wśród nich było trzech moich wujków, Soboniów, z których najstarszy Felek, świeżo wziął ślub z wybranką swojego serca. Oczywiście, wszystko odbywało się w nocy, było tajne, nawet skromne przyjęcie, o którym wiedzieli tylko najbliżsi. Prawdziwe wesele miało się odbyć po wojnie w wolnej Polsce, o którą walczył pan młody i jego koledzy. Weselne przyjęcie zburzyła wiadomość, że do sąsiedniej wsi przyjechała nierozpoznana uzbrojona grupa. Jak się później okazało byli to własowcy, nieustępujący hitlerowcom w swym okrucieństwie wobec Polaków. Nasi chłopcy, z panem młodym na czele, pojechali na zwiad. Pierwszy rozpoznał nieprzyjaciela wujek Felek i ostrzegł kolegów. Przypłacił to życiem. Przewaga własowców była tak duża, a niebezpieczeństwo spalenia w odwecie przez nich całej wsi i wymordowania mieszkańców tak realne, że walka była bezcelowa.

Pogrzeb wujka miał się odbyć w nocy, w głębokiej tajemnicy. Zabroniono być na nim nawet wdowie. Nie każdy jest zdolny do rozpacy bez głosu. Koledzy wujka pozwolili, w drodze wyjątku, tylko mnie spoza ich grona uczestniczyć w tym tajemnym pochówku. Wiedzieli, że bardzo tego pragnęłam, bo lubiłam wujka, a ponadto zasłużyłam w kręgach konspiracyjnych na zaufanie roznosząc podziemną prasę czy przemycając pod nosem Niemców części radiodbiornika przekazującego wieści z Londynu. Jakiejś niepozornej dziewczynce łatwiej było przenieść rzeczy zakazane niż osobie dorosłej. BCH-owcy uważali mnie więc za swoją i pozwolili pożegnać wujka. Leżał w odkrytej trumnie, wykonanej przez towarzyszy broni. Wpatrywałam się w jakże mi znajomą twarz, a łzy mi płynęły, płynęły, bez jednego szloch, bez łkania, tak, jakby ktoś inny płakał, nie ja. Chłopcy, jak przystało na honorową wartę, stali na baczność, w milczeniu, z bronią gotową do strzału, bo własowcy, zostawiając trupa, mogli przygotować zasadzkę na tych, którzy po niego przyjdą. Obok czekał wcześniej wykopany dół. Chłopcy nie spieszyli się do zamykania trumny, chcieliśmy jak najdłużej z nim być, utrwalić jego obraz na zawsze w pamięci. Przeraził mnie widok jego ręki, tej, z której się strzela. Leżała wyrwana na piersiach. Musieli się przed śmiercią nad nim pastwić.

Zginąłeś za Polskę wolną, sprawiedliwą, niepodległą. Wywalczymy ją i będzie taka, przyrzekamy ci. Te pożegnalne słowa, wypowiedziane przez jednego z partyzantów nad trumną przyjaciela, powracają do mnie z przeszłości ilekroć słyszę o nowych aferach, o korupcji, o wybrańcach narodu, zajmujących się tym, kto kogo bardziej opluje i ile

pieniędzy zdąży się wyprowadzić z państwowej kasy do własnej kieszeni, o wyrównywaniu szans dzieci chłopskich, chociaż się je w rzeczywistości bardziej pogłębia, o rosnącej różnicy między biednymi i bogatymi. Myślę wtedy: to prawda, że mamy Polskę wolną, ale czy sprawiedliwą, taką, za którą ginęli chłopcy z tamtych lat? Nie pamiętam, na którym cmentarzu poległych za ojczyznę, czytałam napis: „Jeśli o nich zapomnimy, Ty, Panie, zapomnij o nas”. Ja tamtej nocy zapomnieć nie mogę.

Marysia

Żyli wtedy Pani rodzice. Pewnie i dziadkowie. Co to znaczyło dla Pani być córką, być wnuczką?

Maria

Mój ojciec zmarł przed wojną niedługo po moim urodzeniu, na gruźlicę. Była to wtedy choroba dość nagminna i zbierała śmiertelne żniwo przede wszystkim wśród biednych, bo bogaci walczyli z nią środkami wówczas dostępnymi i chociaż nie były one tak skuteczne jak dzisiaj stosowane, to opóźniały jej rozwój lub zapobiegały powstawaniu. Od mamy wiem, że odziedziczyłam po ojcu urodę, jasny kolor oczu i włosów, smukłość sylwetki. Wrażliwość, która mi przeszkadza, ale i bogaci, przejęłam pewnie od obojga rodziców.

Kiedy ojciec zachorował, mama na jego leczenie wysprzedała wszystko, co w skromnym gospodarstwie można było spieniężyć. Zabrakło więc warunków, by chorego dobrze odżywiać, co w przypadku gruźlicy było konieczne. Warunki te w domu dziadków przedstawiały się korzystniej, zabrali więc syna do siebie. Ich dom od naszego dzieliły niecałe trzy kilometry. Mój ojciec czekał w tym domu ponad rok na śmierć. Pytał żonę, gdy do niego przychodziła, czy jest pewna, że istnieje życie pozagrobowe. Mówiła, że istnieje. Tylko tę nadzieję mogła mu podarować. Kiedy czuł zbliżający się koniec, chciał mnie zobaczyć. Mama wróciła po mnie od niego do domu, gdy mnie mu przyniosła, już nie żył. Mój dwudziestoletni Ojciec zmarł w najpiękniejszym okresie życia i najpiękniejszym miesiącu roku.

Często zastanawiałam się, co czuł i co myślał przez te długie dni i noce między atakami kaszlu, krwotokami i brakiem pomocy lekarskiej, na którą nie było pieniędzy. Mój ojciec musiał się bezsilnie buntować nie tylko przeciwko losowi, lecz także przeciwko światu, który jest wadliwie urządzone, i zamiast siły i środki skupić na walce z chorobami, cierpieniem, krzywdą, przeznaczają je na zbrojenia, na trwanie rządzących w egoistycznych, ambicjonalnych celach, spycha słabych w sytuacje bez wyjścia, w samotność, biedę, beznadzieję. Może ojciec w ostatniej godzinie swojego istnienia, kiedy zapragnął mnie zobaczyć, chciał mi ów bunt

przekazać, żebym w dorosłości przełożyła go na działania? Bo to, co robię od dawna, ma jakiś z nim związek. Chociażby to, że nigdy nie zaakceptuję takiego ładu świata, w którym życie ludzkie będzie zależało od posiadania pieniędzy.

Jaką byłam córką dla mamy? Podobno byłam dobrym dzieckiem, tylko upartym. Tym się różniłam od mojej przyrodniej siostry Hani, że gdy mama na nas nakrzyczała, moim zdaniem niesłusznie, Hania przepraszała, a ja... zakładałam głódówkę.

Wobec babci mam grzech na sumieniu, którego do dziś z pamięci wyrzucić nie mogę. Babcia, jak chyba większość babć, zwykła okazywać mi swoją troskliwość przez dbałość, żebym się, broń Boże, nie przeziębiła, żebym nosiła szalik, czapkę, ciepłą chustkę osłaniającą od wiatru. I jak większość dzieci nie doceniałam tej dbałości o mnie; wolałam biegać z gołą głową, bez zbędnych nakryć. Któregoś dnia, wychodząc po lekcjach ze szkoły, byłam wtedy w drugiej klasie, zauważyłam babcię, czekającą na mnie z wełnianą chustką. Uciekłam jej, chociaż wołała za mną. Bałam się drwin kolegów, że babcia musi swą wnusię jak dzidziusia otulać przed zimnem. Po powrocie do domu gryzło mnie sumienie, że babcia na próżno szła taki kawał drogi, a chodzić jej już było ciężko, tymczasem ja, niewdzięcznica, zamiast jej podziękować, zostawiłam ją samą przed szkołą. Minęło kilka dni, a ja wciąż nie miałam odwagi, jakoś się przed nią wytłumaczyć, przeprosić. Którejś nocy obudziło mnie dobiegające z sąsiedniego pokoju rżenie. Spłakana mama przyszła mi powiedzieć, żebym tam nie szła, bo już się nie da babci w niczym pomóc, i że ona do rana będzie przy niej czuwać. A ja do rana modliłam się żarliwie, jak tylko dziecko potrafi, żeby babcia wyzdrowiała i żebym jej powiedziała, że ją kocham i że już zawsze będę dla niej dobra i żeby mi wybaczyła tamtą ucieczkę sprzed szkoły.

Babcia umarła, nie odzyskawszy przytomności. Zdarzenie to uświadomiło mi, że ważnych spraw, jakie zaistniały, niezależnie od wieku, między ludźmi, nie wolno odkładać na potem. Bo „potem” może stać się niemożliwe. Dlatego, sądzę, tak bardzo popularne, nie tylko wśród czytelników poezji, stało się powiedzenie księdza Jana Twardowskiego: „Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”.

Marysia

Zaczęła Pani naukę podczas niemieckiej okupacji...

Maria

Tak, gimnazjum. Pierwszą klasę przerabiał ze mną ksiądz Jan Nieróbca. On mi ukazał piękno literatury greckiej i rzymskiej. Potem uczęszczałam na tajne komplety w Solcu nad Wisłą. Za udział w tajnym nauczaniu groziła wtedy śmierć. Bardzo przeżyłam pierwszy

w życiu egzamin, oczywiście też potajemnie zorganizowany we dworze we wsi Kamień, blisko posterunku niemieckiego. Język polski poszedł mi dobrze. Pisałam wypracowanie „Pożar Rzymu” na podstawie lektury *Quo Vadis*. Gorzej z matematyką. Stres tak sparaliżował mi myślenie, że byłam pewna, iż egzaminacyjnego zadania nie rozwiążę i nie zdam. Siedziałam więc nad pustą kartką i umierałam z przerażenia. I wtedy stał się cud! Ktoś poprosił profesora od matematyki do drugiego pokoju. Profesor od polskiego, któremu się spodobał mój „Pożar Rzymu”, podszedł do mnie i pustą kartkę przykrył kartką z rozwiązaniem zadania. Szybko ją przepisałam, zanim zdążył wrócić profesor od matematyki. Nie mam pamięci do nazwisk, ale tego nauczyciela, który mnie uratował łamiąc przepisy egzaminacyjne, zapamiętałam na całe życie. Nazywał się Rytel!

Teraz na spotkaniach z młodzieżą mówię jej czasem rzecz ponoć niepedagogiczną: jeśli będąc przez tyle lat uczniem nie zdarzyło ci się ani razu komuś podpowiedzieć, ani razu dać ściągę, ani razu stanąć w obronie słabszego kolegi napastowanego przez rówieśników, to musisz się nad sobą głęboko zastanowić, czy jesteś porządnym człowiekiem i czy czasem nie zoczyłeś z drogi wiodącej ku ludziom.

Marysia

A potem była już normalna szkoła. Normalna czy straszna?

Maria

Straszna szkoła jest tam, gdzie jest straszny nauczyciel. Wystarczy jeden taki, żeby bać się całej szkoły. Właśnie staram się o indywidualne nauczanie dla inteligentnego, zdolnego chłopca, cierpiącego na fobię szkolną, chorobę, w którą wpędzają nadwrażliwych uczniów nauczyciele-dręczyciele. „Chcemy nauczycieli, nie dręczycieli” – z tym hasłem poszli pod Sejm licealiści jednej z warszawskich szkół, kiedy ich kolega przez takiego dręczyciela rzucił się pod pociąg.

W pierwszej klasie liceum ogólnokształcącego mieliśmy matematyczkę, panią Krystynę, o dużej wiedzy teoretycznej, dającej jej poczucie władzy nad uczniami-humanistami, niedostatecznie zaangażowanymi w służeniu królowej nauk ścisłych. Do tych miernot matematycznych należałam również ja. Pani profesor miała zwyczaj władczy głośnie rozkazywać: „Kręciszówna do tablicy”. A kiedy już czekałam niczym na ścięcie, jaki przemyślnie skomplikowany przykład mi podyktuje, żebym nie mogła się z niego z honorem wyplątać, ona wyciągała tomik poezji i odczytywała wiersz tak ultranowoczesny, że nie sposób było cokolwiek z niego zrozumieć lub odczuć. I wtedy zwracając się do mnie mówiła: „I ty to uważasz za poezję? Matematyka to poezja. Jeśli z niej dostaniesz dwoję, to

choćbyś miała na świadectwie same piątki, nie zdasz”. Po takim wstępie wszystkie poznane formuły matematyczne zapadały mi się w niepamięć, jak w przepaść.

Do maturalnej klasy przeniosłam się z Pabianic do Zgierza, do tamtejszego liceum pedagogicznego. Matematyki uczyła nas niepozorna, nieurodziwa, skromna i cicha Brońcia. Nawet „pani” do niej nie pasowało. Podawała nam wiedzę matematyczną w sposób tak jasny i zrozumiały, że każdy z nas bez trudu mógł sobie ją przyswoić. Spora więc grupa uczniów (ja też) zdecydowała się, spośród innych dowolnych przedmiotów, jako przedmiot do zdawania egzaminu maturalnego, wybrać... matematykę. Zdaliśmy wszyscy, z dobrymi wynikami, jako że Brońcia, chociaż nikt jej nie kazał ani nie płacił, zostawała z nami po lekcjach, dawała nam do rozwiązywania różne trudne przykłady, i dotąd tłumaczyła, aż największy antytalent matematyczny wszystko zrozumiał. Dzięki Brońci pojęłam, że wyniki nauczania nie zależą od uzdolnień ucznia, lecz od umiejętności nauczyciela i jego przyjaznego stosunku do tych, których naucza.

Po to więc, aby tylko tacy nauczyciele jak Brońcia czy Smulska uczyli w szkołach, Parlament przyjął moją poprawkę do ustawy i wprowadził ocenę nauczycieli przez uczniów, ale nauczycielskie związki zawodowe szybko postarały się, by ten zapis w ustawie wykreślić. Tymczasem, dopóty dopóki w oświacie nie będzie większości nauczycieli akceptowanych przez uczniów, nie będzie w szkołach wychowania. Bo nie ma wychowania bez miłości – jest tresura.

Marysia

W czasach, o których dzisiaj mówi się: „epoka PRL-u”, niektórzy cierpieli, reszta jakoś żyła. Było skromnie, ale zebranych dzieci na ulicach nie było. I wbrew temu, co często dzisiaj się mówi, Polska Ludowa nie była kulturalną pustynią. Wtedy zaczęła Pani studiować, pracować i pisać...

Maria

Myślę, że gdyby nie Polska Ludowa ani ja, ani moja siostra, nie ukończyłybyśmy studiów wyższych. Z dwuhektarowego gospodarstwa ledwie dało się wyżyć, a nauka sporo kosztowała. Mama była gotowa sprzedać ziemię, byle nas uczyć. Tylko z czego bez gospodarstwa utrzymać rodzinę? Na studia polonistyczne w Łodzi zostałam przyjęta bez egzaminu, podobnie jak wszyscy, którzy udokumentowali swój udział w ruchu oporu. Po studiach, na własne życzenie, poszłam pracować do małej szkoły wiejskiej w Modlicy z klasami łączonymi, bez elektryczności, bez życia kulturalnego. Okres stalinowski był koszmarny. „Awansowałam” nawet na wroga klasowego.

Przed skazaniem za wywrotową robotę ochronili mnie modliccy chłopci, swoją wypróbowaną strategią wobec przedstawicielei władz. Pouczali mnie: po co się pani z nimi wyklóca, szkoda strzepić gębę. Oni wyjadą, a my dalej będziemy robili swoje. I robiliśmy tak, że kiedy wreszcie przyszedł polski Październik, Modlica z działalności kulturalnej stała się sławna w całym kraju. To wtedy nasza wieś jeździła do teatru do Łodzi na Szekspira, recytowała Mickiewicza, Różewicza, Gałczyńskiego, jeździła po różnych miejscowościach z teatralną adaptacją *Dziurdziów Orzeszkowej*, za co w ogólnopolskim konkursie teatrów amatorskich otrzymała pierwsze miejsce.

Okres gomułkowski, to okres mojego kierowania podwarszawską ołtarzewską szkołą, pierwszą „tysiąclatką” na Mazowszu. Opisałam te lata w książce *Kierownika szkoły dni powszednie*. Miałam o czym pisać, bo chociaż trzeba się było użerać z niektórymi tępyimi aparatczykami „przewodniej siły narodu”, to przecież można było wiele dobrego na rzecz dzieci i młodzieży zrobić. Ołtarzewscy uczniowie uczyli się obcowania ze sztuką: malarstwem, muzyką poważną, teatrem, literaturą piękną. Raz w miesiącu był dla wszystkich klas koncert, poprzedzony przygotowaniem dzieci do odbioru tego rodzaju muzyki. Przy szkole działały: Uniwersytet dla Rodziców, ognisko przedszkolne, Klub Młodej Inteligencji, koło ZMW, piwnica, w której odbywały się spotkania z ciekawymi ludźmi, dyskusje, kameralne rozmowy o życiu. To smutne, że dziś ze świecą szukać trzeba szkoły skupiającej przy sobie tyle ważkich społecznie inicjatyw. Wtedy jeszcze chciało się społeczeństwu budować „Tysiąc szkół na Tysiąclecie”, malarzom urządzać szkolne galerie sztuki, a młodzieży organizować na wsiach klubo-kawiarnie i teatrzyki kukielkowe dla chłopskich maluchów.

Okres gierkowski był dla dzieci bardzo życzliwy w przydziale środków. Nauczycielom podniesiono pensje, zaczęły się rozwijać rodzinne domy dziecka, rodziny zastępcze, obozy, kolonie letnie i zimowe oraz inne formy służące dzieciom. Gdyby fundamentaliści nowego porządku nie głosili, że wszystko, co stare, co stworzono w PRL, było złe i gdyby do nowej rzeczywistości politycznej przenieśli to, co powojenne społeczeństwo dokonało przez półwiecze dobrego, wiele z tego ocalałoby i służyło dziś dzieciom. I pewnie nie mielibyśmy dzieci żebrzących i zapaści kulturalnej na wsiach.

O tym, co się w tamtych czasach także złego działo, o totalitaryzmie, braku suwerenności, o zakłamaniu wiemy wszyscy. Ale i w PRL, pomijając wady ustrojowe, wszelkiego zła byłoby mniej, gdyby rządzących od reszty społeczeństwa nie odgradzały grupy ich współpracowników, zainteresowanych utrzymaniem za wszelką cenę intratnych stanowisk i robieniem kariery.

Marysia

Wiem, że chroni Pani bliskich przed ciekawską prasą. Ale to przecież mogę powiedzieć, bo kiedyś sama Pani o tym napisała. Jest Pani mamą dwojga dzieci. I babcią.

Maria

Tak. Kocham ich i wiele im zawdzięczam. Wzbogaciły moją wiedzę o dziecku, zwłaszcza o małym, bo starsze dzieci mogłam obserwować w szkole. Na skutek kontrastowych charakterów nie ułożyło nam się życie z mężem, nauczycielem, wychowałam więc sama moją córkę Hanię i syna Andrzeja, ale nigdy nie utrudniałam im kontaktów z ojcem. To dzięki przede wszystkim moim rodzonym dzieciom zdobyłam argumenty przeciwko Erichowi Frommowi, którego w innych kwestiach bardzo cenię, że małe dziecko jest egocentryczne i niezdolne do miłości ani do myślenia o innych ważnych sprawach. Tymczasem u dzieci już bardzo wcześnie rodzą się pytania natury egzystencjalnej. Niełatwo było odpowiedzieć mojemu czteroletniemu synowi, gdy pytał: Gdzie ja byłem, jak mnie nie było na świecie? Albo na zawartą w pytaniu prośbę o potwierdzenie: Ty nie umarnies, prawda?

Dzieciom trzeba odpowiadać zawsze zgodnie z prawdą, lecz tak, żeby nie zasiać w nich ani odrobiny lęku, bo tę odrobinę potrafią w swej wyobraźni wyolbrzymić, nabawić się lęków nocnych i budzić się z krzykiem nieprzytomne ze strachu. Moja babcia, kiedy byłam małą, wciąż mi opowiadała o diabłach, w istnienie których święcie wierzyłam. Nabawiłam się przez to nerwicowego lęku przed zasypianiem. Każdej nocy śniły mi się diabły wlokące mnie do piekła. Moja córka, trzyletnia Haneczka, udowodniła mi, że niektórzy dorośli, nawet ci wyposażeni w wiedzę psychopedagogiczną, w pewnych warunkach zachowują się nieodpowiedzialnie jak dzieci, a dzieci odpowiedzialnie jak dorośli. Otóż tą nieodpowiedzialną matką byłam ja, gdy przyszło mi pożegnać moją córkę, odjeżdżającą do zakaźnego szpitala. W tych czasach jeszcze rodzice nie mieli wstępu do dziecięcych szpitali. Przerażała mnie myśl, jak moje dziecko pierwszy raz przeżyje rozstanie ze mną, chore, cierpiące, wśród obcych ludzi, w obcym miejscu. Wiedziałam, że powinnam ją do tego przygotować, nie okazać niepokoju, pożegnać uśmiechem. Było to jednak ponad moje siły. Nie potrafiłam powstrzymać łez. I wtedy Haneczka, cała obsypana krostami, męczona wysoką gorączką, zaczęła mnie pocieszać: Nie płac, mamuniu, nic mi nie jest, pojedę i wrócę do ciebie. I próbując się uśmiechnąć, zażartowała, wskazując rączką na moje łzy: Descyk pada. Przywołała mnie tym do porządku i pozwoliła pielęgniarce bez protestu wnieść się do karetki pogotowia. Wiedziałam, że bardzo się boi, że cierpi, ale nie ujawnia tego, żeby mnie

uspokoić. Jej opanowanie było silniejsze od mojego. Prawdę mawiał Korczak, że w dziedzinie uczuć musimy się uczyć dorastać do dzieci, one nas znacznie przewyższają.

Marysia

Pół wieku mija, odkąd służy Pani dziecięcej sprawie. Proszę opowiedzieć o jakimś niezwykłym dziecku, które Pani spotkała.

Maria

Spotykam takie dzieci, chociaż niezwykli nie rodzą się na kamieniu, a niezwykłość bywa pozytywna i negatywna. Przyjeliśmy do ogniska wychowawczego chłopca, którego matka w wigilijny wieczór wyrzuciła na ulicę. Wielki przyjaciel dzieci, dr Jerzy Serejski, załatwił mu dodatkowe korepetycje z matematyki, bo powiedział, że dzieciak ma tak genialny umysł, iż wyrośnie na drugiego Einsteina. Rzecz w tym, że umysł miał genialny, lecz serce tak przepełnione nienawiścią do wszystkich i wszystkiego, że najbardziej wytrawni specjaliści nie potrafili sobie z nim poradzić. Kiedy zdemolował gabinet lekarski pani doktor będącej z nim w poprawnych stosunkach, zapytałam go, dlaczego to zrobił. Odpowiedział, że naprawdę nie wie dlaczego, ale musi to robić.

Przypomniała mi się wtedy rozmowa z prof. Dryjskim, kiedy na Uniwersytecie Łódzkim zdawałam u niego egzamin z psychologii. Pokazując mi maszynopis swojej książki o podświadomości, zaznaczył, że zajął się tą dziedziną, bo nauka za mało docenia rolę, jaką spełnia ona w życiu człowieka. Myślę, że w naszym wychowaniu krzywda niekochanego dziecka zrodziła nienawiść, a następnie zepchnęła ją do podświadomości. Nie umiając się tam dostać ani on, ani my, wychowawcy, nie potrafiliśmy racjonalnie wytłumaczyć jego destrukcyjnych zachowań. Nienawiść, połączona z genialnym umysłem, może dokonać rzeczy strasznych.

Któregoś dnia przerażony wychowawca przyniósł mi do gabinetu bogaty zestaw słoików oznaczonych trupimi czaszkami. Były to różnego rodzaju trucizny, którymi można było wytruć wszystkie dzieci i personel ogniskowy. Słoiki ukryte były w pokoju naszego „Einsteina”. Nie chciał powiedzieć, gdzie i po co je ukraść. Rada pedagogiczna nie zamierzała ryzykować życia swojego i podopiecznych. Uchwaliła więc przeniesienie go do specjalistycznego zakładu. Może on był jeszcze do uratowania, ale czy mamy w kraju takie psycho-pedago-medyczne laboratoria, w których uczeni odkrywaliby przyczyny różnych chorób, na które cierpi dziecięca dusza?

Marysia

W Talmudzie napisano, że kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat. Udało się Pani uratować cały świat?

Maria

Udało się uratować wiele światów. Ale ten największy, poddany procesowi globalizacji i dehumanizacji, ten, co, jak twierdzi Stanisław Lem, uległ zdeptaniu i spłaszczeniu, nie jest przyjazny dziecku wbrew temu, co głosi ONZ. Stąd, ratując jedno lub grupkę dzieci, widzę oczami wyobraźni tysiące małych męczenników, cierpiących pod władzą coraz to bardziej wynaturzonych dorosłych, a ja nie mogę tych dzieci ochronić. Dlatego tak uparcie dopominam się prawnej ochrony więzi uczuciowej dziecka z osobą, z którą jest związane. Jeśli taka osoba jest, będzie dziecko broniła przed krzywdą.

Marysia

A dziecko, o którego życie batalię Pani przegrała. Było takie?

Maria

Było. Miało siedemnaście lat i sprzedawało swe ciało za „działkę”. Śliczna dziewczyna. Kiedy przysłała do mnie, szukając instynktownie ostatniej szansy ocalenia, powiedziała, że jest wewnętrznie martwa. Doprowadzoną przeze mnie do łez uściskałam radośnie: „Widzisz, żyjesz! Kto jest zdolny jeszcze do płaczu, może się ratować”. Namówiłam ją wtedy na odtrucie. Po wyjściu ze szpitala nie potrafiła oprzeć się pokusie. Był „złoty strzał” i nie ma już pięknej dziewczyny.

Przegrałam batalię o życie Moniki licealistki. Bardzo prawa i mądra dziewczyna. Nie znosiła szpanu, obłudy, fałszu w zachowaniach rodzinnych i koleżeńskich. Źle się czuła i w „porządnym” domu, który wewnątrz wcale porządnym nie był. Źle się też czuła w klasie, której przewodziła jej była przyjaciółka, poniżając ją i bawiąc się jej kosztem. Korespondowałyśmy ze sobą ponad dwa lata. Chciałam jej pomóc. Proponowałam, że spotkam się z rodzicami, że przeprowadzę lekcję wychowawczą w jej klasie. Nie zgodziła się. Bała się jak ognia ujawnienia, że do mnie pisze: „starzy by mnie zabili”. Ostatni mój list nie zdążył do niej dojść. Skoczyła z dachu dziesięciopiętrowego bloku. W mojej książce dla młodzieży *Morderstwo przed studniówką*, zadedykowałam jej jedno z opowiadań: *Monice, mojej nieznannej Przyjaciółce*.

Marysia

Tak czy inaczej, ale przez wiele lat jakoś Pani politykowała, żeby pomóc dzieciom. Trzeba było spotykać się, rozmawiać, „brać udział”. Dzisiaj niektórzy się tego wstydzą. A Pani?

Maria

Wstydziłabym się, gdybym nie brała udziału, stała z boku i miała za złe, gdy dzieci oczekują pomocy. Przecież to w PRL powstał pierwszy w tej części Europy Komitet Ochrony Praw Dziecka. Twój ojciec, jeden z pierwszych, założył Terenowy Komitet Ochrony Praw Dziecka we Wrocławiu. I to on pieniądze z nagrody papieskiej przeznaczył na „Betlejem”, żeby dać dach nad głową bezdomnym, ciężarnym matkom. Tymczasem mógł, jak inni, chlubiący się teraz, że nie pokalali się PRL-em, robić szmal, budować dachy, zmieniać samochody na lepsze. Jest świetnym prawnikiem. A wiesz, ile wziął od jednej z matek za prowadzenie jej sprawy w sądzie? Jeden grosz. Bronił tej kobiety za prawdziwy, ewangeliczny wdowi grosz. Istnieją rzeczy ważniejsze od pieniędzy, ambicji, a nawet utracenia dobrego imienia w oczach opinii publicznej.

To ostatnie groziło mi w czasie stanu wojennego. Trwał wtedy bojkot występowania w telewizji. Przewodnicząc Komitetowi Ochrony Praw Dziecka wystąpiłam do gen. Kiszczaka w sprawie rodziców internowanych, niewiedzących, gdzie są ich dzieci i co się z nimi dzieje. Generał Kiszczak powiadomił nas, że wydał rozporządzenie funkcjonariuszom, by dzieci były oddawane pod opiekę osób wskazanych przez rodziców. Rzecz w tym, że rodzice o takim rozporządzeniu nie wiedzieli. Jedyna możliwość dotarcia do społeczeństwa z tą wiadomością to ogłoszenie jej w telewizji. Taka możliwość zaistniała, albowiem kierownictwo telewizji za pośrednictwem znanej i szanowanej dziennikarki prosiło mnie o wystąpienie w Dzienniku Telewizyjnym. Wiedziałam, czym mi to grozi, jeśli się na to zgodzę. Opinia publiczna, która dotąd była mi przychylna, mogła mnie skazać na społeczny niebyt.

Wiele jest przykładów na to, jak za jedno wystąpienie odsądzano człowieka od czci i wiary, nie bacząc na jego wieloletnie zasługi. Biłam się z myślami – co jest ważniejsze, moja reputacja, czy pomoc rodzicom i dzieciom w zmniejszeniu dramatu rozłąki? Zgodziłam się wystąpić w Dzienniku, pod warunkiem, że nie zostanie usunięty z nagrania fragment, w którym mówię o dzieciach rodziców internowanych. Taką gwarancję wprowadzić uzyskałam, lecz komisarz cenzurujący program, nie puścił mojego wystąpienia na antenę.

Myślę, że tylko w trudnych sytuacjach możemy sprawdzić, ile jest w nas egoizmu, a ile altruizmu, ile wierności ideałom, a ile zgody na zdradę.

Marysia

Dla jednych jest Pani wrogiem Kościoła. Dla innych – wręcz przeciwnie. Jak to z Panią naprawdę jest?

Maria

W świętych księgach czytamy, że Bóg jest Miłością, ja zaś wierzę w Miłość, czyli wierzę w Boga. Sądzę, że najgłupsza rzecz, jaką twórcy komunizmu wymyślili, to walka z religią. Już na samym początku skazywali się na przegraną. Bo Bóg, jakkolwiek będzie nosił nazwę, jest ludziom potrzebny dotąd, dopóki będzie istniała śmierć, czyli wiecznie. Po co ludziom odbierać to, z czym łatwiej jest im żyć? Ja nie mogłam pocieszyć matki mojej uczennicy, która zginęła pod kołami samochodu, wracając ze szkoły. Ksiądz pocieszył, zapewniając, że spotka ją w niebie.

Jako wrażliwe dziecko, wychowane w rodzinie katolickiej, byłam tak pobożna, że wierzyłam dosłownie we wszystko, co głosił Kościół. W nocy straszły mnie diabły, w dzień czułam się świętą, zdolną do czynienia cudów. Stałam przed kałużą, robiłam znak krzyża i wierzyłam, że woda się rozstąpi, jak w Piśmie Świętym, i przejdę suchą nogą. Owszem, przesłam, tylko w domu nie śmiałam odpowiedzieć mamie na proste pytanie: Gdzieś ty się, dziecko, tak uszargała?

Pierwsze wątpliwości w wierze naszły mnie przy rozważaniu sakramentu chrztu. Dlaczego sprawiedliwy Bóg inaczej traktuje dzieci ochrzczone i nieochrzczone? Im bardziej dorastałam do refleksyjnego myślenia, tym więcej rodziło mi się obrazoburczych pytań i protestów. Mój ojciec umarł, bo Bóg tak chciał? Jaki dobry Bóg chce zabrać dziecku ojca? Co to znaczy, że Bóg doświadcza niewinnych ludzi, zsyłając na nich cierpienie? A już zupełnie nie zgadzałam się z takim Bogiem, ze Starego Testamentu, który każe Abrahamowi zabić swojego ukochanego syna Izaaka na dowód całkowitego oddania i posłuszeństwa Stwórcy.

Tak to pod wpływem heretyckich myśli, które nijak mi nie potwierdzały zdania, że Bóg jest miłością, starałam się doprowadzić do zgodności tych dwóch pojęć, żeby nie utracić wiary. I prawie mi się to udało. Doszłam do wniosku, że zgodność ta jest możliwa wówczas, jeśli przyjmujemy, że siła sprawcza istnienia świata, jaką jest Bóg, w swej miłości do człowieka wyposażył go we wszystko, co sam posiada, dał mu rozum, uczucia i wolną wolę, by władał tym światem i czynił go szczęśliwym. Jest w tym świecie wszystko, aby pokonać

choroby, głód, nieszczęścia, wojny. Gdyby ludzkość tyle przeznaczyła na naukę, ile przeznacza na zbrojenia, dawno już zwalczylibyśmy raka, AIDS, śmiertelne wirusy. Gdyby dzieci wychowywane były w miłości, i uczone empatii, nie wyrastałyby na tyranów ani tych domowych, ani tych, co zdobywszy władzę, mszczą się na milionach za własne nieudane dzieciństwo.

To od ludzi zależy, czy świat stanie się przyjazny dzieciom, czy zginie wraz z dziećmi i naszą cywilizacją w wojnie nuklearnej. Gdyby nastąpił koniec świata, to nie z woli kochającego nas Boga, lecz ze złej woli człowieka, który dysponując boską mocą umysłu wynalazł broń totalnej zagłady. I wtedy na sądzie ostatecznym byłibyśmy sądzeni, jak głosi Pismo Święte, z miłości realizowanej w konkretnych sytuacjach, a nie z tego, czy i jakiej wiary jesteśmy wyznawcami.

Marysia

Jest Pani już starszą panią. Pewnie nie wypada o to pytać, ale zaryzykuję. Co Pani sądzi o prawie człowieka do humanitarnej śmierci?

Maria

Nie tylko wypada, ale trzeba o tym rozmawiać i o to pytać osoby w każdym wieku, nie tylko w tym, w którym statystycznie się umiera. Ja do dziś żałuję, że nie pozwoliłam mamie rozmawiać ze mną o śmierci, gdy zachorowała, bo bałam się dopuścić nawet myśli o jej odejściu. Istnieje różnica między ludźmi prostymi i intelektualistami w ich stosunku do śmierci i cierpienia. Różnicę tę w genialny sposób ukazał Izaak Babel w opowiadaniu *Śmierć Dołguszowa* z cyklu „Armia Konna”.

Dołguszow został podczas bitwy ciężko ranny, prosił, by koledzy go dobili. Babel pisze: „Brzuch miał wyrwany, kiszki splezły na kolana i widać było bicie serca. Nie – odpowiedziałem – i dałem koniowi ostrogę”. Do rannego podjechał inny żołnierz, Afońka. „Rozmawiali ze sobą krótko – nie słyszałem słów.

Dołguszow podał wachmistrzowi swoją legitymację, Afońka schował ją za cholewę i wystrzelił Dołguszowowi w usta. – Afonia – powiedziałem z żalonym uśmiechem i podjechałem do Kozaka – a ja nie mogłem. Odejdź – odpowiedział mi blednąc – zamorduję! Litujecie się nad nami, okularniki, jak kot nad myszą...”

Wybitny kardiolog Christiaan Barnard w swojej książce *Godne życie, godna śmierć* pisze: „Zadziwiają mnie ludzie, którzy skłonni są okazać litość zwierzęciu i skrócić mu życie, a jednocześnie mają wątpliwości, czy wolno taki przywilej rozszerzyć na ich bliźnich”. Profesor Barnard, powołując się na egzystencjalistów, przyznaje im rację, mówiąc, że czasem

śmierć może być czymś dobrym dla duszy. Ja się z tym zgadzam z zastrzeżeniem, że nie dotyczy to osób młodych i tych, niezależnie od wieku, którzy w przededniu odejścia na „drugi brzeg” chcą jeszcze tym, którzy zostają, podarować coś z siebie.

Antoni Kępiński, wybitny psychiatra, swe najlepsze książki napisał wtedy, gdy był już śmiertelnie chory i śpieszył się, by zdążyć pomóc nimi swym psychicznie chorym pacjentom, którym poświęcił życie. Być potrzebnym ludziom nawet przez to, że z godnością znosimy przeciwności losu, pozwala nam ocalić sens istnienia i szacunek osób niosących nam pomoc. Dorota pisała do mnie list, trzymając długopis w ustach. Miała tylko zdrową głowę, reszta ciała była sparaliżowana. Prosiła mnie o pomoc w dostaniu się na studia psychologiczne po pokonaniu barier, jakie jej postawiono w przyjęciu do szkoły podstawowej i średniej. Postanowiła zostać psychologiem-logoterapeutą, bo przekonała się, że rozmowa z nią przywraca ludziom zdrowym sens życia, zagubiony we współczesności, nastawionej na rywalizację, sukces, karierę.

W moich książkach dla młodzieży piszę, że w najbardziej trudnej sytuacji śmierć nie jest wyjściem. Że jeśli się ma przed sobą wiele lat życia, można znaleźć jego sens i wtedy, kiedy jest się na inwalidzkim wózku i kiedy ma się zdrowe nogi nierokujące sukcesu w castingu na modelkę. Ale kiedy jest się na ostatnim krańcu życia i ma się medyczny wyrok, niedający najmniejszej nadziei na wyzdrowienie lub kiedy medycyna jest bezsilna wobec męczarni końcowej fazy nieuleczalnej choroby – człowiek powinien mieć prawo do humanitarnej śmierci i poszanowania swej woli. Powinno się to prawo tak zabezpieczyć przed nadużyciem, żeby nie mogła go osiągnąć podłość ludzka. Wiem, że to jest trudne, ale chyba możliwe, chociaż ryzykowne. Zalegalizowanie bowiem eutanazji, mogłoby zachwiać poczuciem bezpieczeństwa osób chorych nawet przy największym obwarowaniu tej legalizacji środkami uniemożliwiającymi jej nadużycie.

Trudno zaprzeczyć, że wszyscy pragniemy lekkiej śmierci. Jeśli rodząc się, przychodzimy na ten świat z płaczem, to żegnać go powinniśmy przyjaźnie, z uśmiechem, zwłaszcza, gdy pochylają się nad nami nasi najbliżsi, których chcielibyśmy pocieszyć. Właściwą atmosferą, a także środkami farmakologicznymi daje się wpłynąć na lepsze samopoczucie człowieka, na zmniejszenie jego lęku i rozpacz rozstania ze wszystkim, co ukochał. Gdybyśmy my, żyjący, nie uciekali strachliwie przed tematem śmierci i tym, co się z nią wiąże, gdybyśmy nie odsądzali od czci i wiary zwolenników eutanazji, pozwalając samotnie konać chorym za szpitalną zasłoną czy dyskryminować zmarłych samobójców gorszym pogrzebem, może dohumanizowalibyśmy tę dziedzinę. Nie wierzę, aby Bóg, który jest Miłością, gorzej traktował bliźniego, który z nadmiaru cierpienia targnął się na swoje

życie, od tego, kto zmarł naturalną śmiercią na rodzinnym łożu, namaszczone ostatnim sakramentem.

Wracając z Rzymu z konferencji Unii Międzyparlamentarnej, przeglądałam w samolocie „Muzę rzymską”. Lot ów wykorzystałam twórczo, trawestując epitafium poświęcone Klaudii na poświęcone Marii. Przytoczę Ci obydwa teksty dla porównania.

Klaudia

Gościu, co rzekę, krótkie będzie. Stań i czytaj.
To niepiękny grobowiec kobiety pięknej.
Rodziciele nazwali ją Klaudią. Męża
Miłowała swego całym sercem. Dzieci
Zrodziła dwoje – jedno z nich na ziemi żywie,
Drugie w ziemi spoczywa. W mowie była wdzięczna,
A kroczyła z godnością. Domu swego zawsze
Strzegła. I wełnę przędła. To jest wszystko. Idź już.

Maria

Gościu, co rzekę, krótkie będzie. Stań i czytaj.
To spokojny grobowiec kobiety niespokojnej.
Rodziciele nazwali ją Marią. Niezależność
Zachowała do śmierci. Zrodziła syna i córkę.
W mowie była prawdziwa. Kroczyła niecierpliwie.
Wełny nigdy nie przędła. Kochała dzieci i wiersze.
Wierzyła w miłość, która ocali świat.
To wszystko. Idź już.

Takie epitafium byłoby dużo ciekawsze od dzisiejszych napisów na stereotypowych nagrobkach. Jeśli pamięć o tych, co odeszli, chcemy przedłużyć i przybliżyć, to dlaczego nie napiszemy o czymś, co było ważne w ich życiu? Na przykład, że kochali poezję.

Marysia

Na Pani biurku widziałam tomiki poezji Małgorzaty Hillar, księdza Twardowskiego, Tadeusza Różewicza, Wisławy Szymborskiej, Ireny Conti. Życ bez poezji nie można?

Maria

Można. Ale co to za życie, zubożone o coś, co jest dostępne na wyciągnięcie ręki, lecz niewykorzystane, chociaż zawiera piękno mogące uszczęśliwiać uczzonego i zwykłą chłopkę. Tylko ilu mamy nauczycieli podobnych do tego ze „Stowarzyszenia umarłych poetów”, którzy to piękno przed uczniami odkrywają?

Marysia

Słyszałam, że potrafi Pani zdenerwować się, ponoć nawet krzyknąć. Ale ja kojarzę z Panią ciepły, mądry uśmiech. Matka Teresa z Kalkuty też często uśmiechała się...

Maria

Dorosły bez uśmiechu mnie trwoży, a dziecko niepokoi. Czasem spotykam takie dzieci, nieumiejące odpowiadać uśmiechem na uśmiech. Myślę wtedy, że ktoś je musiał głęboko zranić. Tak, to prawda, że potrafię zdenerwować się na kogoś, komu staram się pomóc, wierzę mu, a on mnie oszukuje i przysyła kartę z pozdrowieniami, podpisując się „niewypał pedagogiczny”. Rozmawiając z takim „niewypałem” podnoszę czasem głos, ale natychmiast się usprawiedliwiam: „Wiesz, dlaczego na ciebie krzyczę? Bo mi na tobie zależy”.

Swoją pierwszą książkę dla nastolatków zatytułowałam: *Co macie na swoją obronę* i zaczęłam ją od serdecznej kłótni z młodzieżą. I wiodę ją do dzisiaj. Koresponduję właśnie z czytelnikiem mej książki *Prawdziwa miłość istnieje*, którą Fundacja „Dziecko” przesłała do bibliotek więziennych. Mój czytelnik, gdy miał 19 lat, zabił człowieka i został skazany na dożywocie. Czyta w celi Dostojewskiego, Kafkę, Hemingwaya i żałuje, że nie słuchał „kazań” swojej mamy. Obiecałam mu, że jeśli szczerze opíše swoją historię, jak zmarnował życie cudze i swoje, i jeśli zadedykuje ją swym kumplom, podążającym podobną drogą co on, to ja napiszę do niej wstęp lub posłowie. Może w ten sposób kogoś ze złej drogi zawrócić?

Marysia

Dziękuję bardzo za udzielenie wywiadu. O co chcę Panią zapytać myślałam płynąc kilka dni Amazonką z Santarém do Manaus. Lubi Pani podróżować?

Maria

Bardzo lubię. Byłam w kilkunastu krajach, lecz w skali naszego globu to niewiele. Nie zmieściłam się w życiu swoim. Ale cieszę się, że świat przed Wami, młodymi, coraz szerzej się otwiera, że plyniesz z ojcem Amazonką, że Justyna, moja wnuczka, jedzie studiować prawa człowieka na uniwersytecie w Padwie i może zainteresuje się prawami dziecka.

Sprawia mi radość fakt, że rośnie krąg zwolenników Partii Dzieci i Młodzieży, składającej się wprawdzie z osób dorosłych, ale rekomendowanych przez dzieci.

Liczę na upowszechnienie w społeczeństwie, przede wszystkim w szkołach nie tylko polskich, pedagogiki serca, uczącej miłości do ludzi i świata. To, co wspierana przez ojca robi Wasza Trójka: Ty, Twoja siostra Zosia i brat Piotr z przyjaciółmi, jest wprowadzaniem w życie pedagogiki serca, chociaż pewnie tego tak nie nazywacie. Przypomnę – podjęliście walkę z żebractwem dzieci, z antysemityzmem, z ksenofobią, z zakłamaniem. Kiedy myślę o Was i młodzieży do Was podobnej, której nie jest wszystko jedno, rośnie we mnie nadzieja na uratowanie świata.

W czerwcu tego roku uczestniczyłam w konferencji naukowej, poświęconej profesorowi Bogdanowi Suchodolskiemu, na której profesor Irena Wojnar przytoczyła słowa Pestalozziego: „Idź zatem spokojnie do walki o prawdę i sprawiedliwość. A nawet powalony, ucz się umierać, abyś pozostał człowiekiem”.